

## **Marta Kwaśnicka: Kiedy Szymon grał na pianinie**

Może polskość jest jednak od Mieszka i Sobieskiego



**Może polskość jest jednak od Mieszka i Sobieskiego**

Przedwojenne pianino marki Ignaz Dobrzaniecki z Kijowa stało w dużym pokoju. Dostaliśmy je w spadku po pewnej krakowskiej profesor, która ponoć zwykła akompaniować solistom, a nawet sama występowała czasem przed publicznością jako pianistka. Nie wiedziałam o niej niczego konkretnego. Znałam jedynie jej nazwisko, chociaż przejęłam przedmiot, który, jak zgadywałam, był jej szczególnie

drogi. Grywała na nim pewnie codziennie dla podtrzymania kunsztu, nie mógł to być zatem pierwszy lepszy instrument. Może odziedziczyła go po kimś albo odkupiła, nie wiem. Trafił do nas przypadkiem, pomagaliśmy rodzinie właścicielki w opróżnianiu mieszkania po zmarłej, zresztą również przypadkiem. Książki i nuty oddano do bibliotek, meble miały trafić do renowacji, ale wielki, nieporęczny kłamor nie był nikomu potrzebny. My tymczasem właśnie wprowadzaliśmy się do nowego mieszkania, nie było w nim jeszcze zbyt wielu przedmiotów, mogliśmy go zatem wziąć ze sobą. Oczywiście, wzięliśmy.

Trudno było dowiedzieć się czegokolwiek o jego historii. Zabytkowe przedmioty tylko częściowo należą do nas, żyją wspomnieniami, których możemy się jedynie domyślać; ciągną za sobą obecność osób, które dawno odeszły. Pianino było starsze niż jego poprzednia właścicielka, skoro pochodziło z Kijowa, a jego polski producent podpisał się na nim łańskim alfabetem. Trudno zgadnąć, w jaki sposób i kiedy znalazło się w Krakowie. Nie wiem także, komu na nim akompaniowano, jakim muzykom, ani nawet co na nim grywano. Było ciężkie, czarne, pokryte politurą, wytartą zresztą tu i ówdzie, a nogi miało rzeźbione w roślinne wzory. Klucz do klapy dawno się już zgubił, klawisze pożółkły, ale na pewno dbano o nie, bo, mimo wieku i braku jakiegokolwiek remontu, znajdowało się w całkiem dobrym stanie.

Odkąd trafiło do nas, zwykle milczało, bo moje umiejętności zawstydzilyby nas przed sąsiadami. W kwestii pianistyki nie wyszłam nigdy poza absolutne podstawy, lekcje fortepianu nie pociągały mnie, jego dźwięk wydawał mi się nudny. W dodatku nigdy nie zadawałam sobie trudu, by w ogóle ćwiczyć. Kiedy koledzy ze szkoły muzycznej zaczęli grać pierwsze inwencje Bacha, ja ciągle męczyłam się nad utworami dla dzieci. Ignaz Dobrzeński przebywał zatem na

emeryturze, czekał, aż się przełamie. Następowoło to rzadko, rzadziej jeszcze, od kiedy piętro wyżej wprowadził się zawodowy pianista. Budził nas zwykle szalonymi interpretacjami Czajkowskiego czy Beethovena, a potem dźwięki fortepianu towarzyszyły nam przez większość dnia, jakby sączyły się z jakiegoś ściszonego radiodbiornika. Jak mogłabym w takich okolicznościach rozpocząć swoje niezręczne gamy i pasaże? Sąsiad poza tym bez wątpienia miał prawdziwy fortepian. Mój Ignaz, czarny i nieostentacyjny, nigdy nie byłby w stanie wydobyć z siebie tylu tonów i subtelności barwy.

Czasami jednak przychodzili do nas goście, którzy potrafili grać. Na przykład Szymon, który był organistą w jednym z krakowskich kościołów. Wpadł z jedną z szybko zaimprovizowanych wizyt, aby nas zaprosić na swoje wesele. Zналиśmy go jeszcze w czasach, kiedy był w liceum, a my – na pierwszych latach studiów. Jako przyjaciel pełnił nawet funkcję organisty na naszym ślubie, grał wówczas bardzo przejęty swoją rolą, sztywnymi palcami, w kościele znajdowało się bowiem co najmniej kilku zawodowych muzyków. Teraz sam był już zawodowcem, Chopin, Bach, cokolwiek sobie życzą.

Podaliśmy herbatę i ciastka, wszystko w zastawie z białej porcelany malowanej w drobne kwiaty, która zresztą trafiła do nas kiedyś zupełnie przypadkiem, bo komuś tam nie była potrzebna, więc spytano nas, czy ją chcemy. Oczywiście, chcieliśmy. Rozmawialiśmy trochę z Szymonem o minionych czasach, o wspólnych znajomych, w końcu, wiedząc, że mamy pianino, spytał, czy mógłby je zobaczyć. Zaprowadziliśmy go do dużego pokoju, otworzył klapę z namaszczeniem, wypróbował kilka klawiszy, zagrał jakiś standard jazzowy, potem drugi, a potem jeszcze kilka innych rzeczy na nasze zamówienie.

- Zagraj Poloneza z „Pana Tadeusza”.

Szymon się skrzywił. Tłumaczył, że to dość prymitywny utwór, oparty na prostym pomysle i kilku akordach. Poza tym zgrano go doszczętnie na studniówkach, kojarzy się już tylko z sunącym bezładnie korowodem spoconej młodzieży. Nawet studenci Kilara mogliby skomponować lepszy.

- Niech skomponują, tymczasem zagraj ten.

- Oj nie, naprawdę, może coś innego. Może jakiś inny utwór filmowy.

- Poloneza zagraj, Szymon.

W końcu zagrał. Ignaz Dobrzeński brzmiał początkowo cokolwiek niepewnie, jak śpiewak, który dawno nie wydawał głosu i musi się trochę rozśpiewać. Palce Szymona muskały za słabo stare, nieznane im klawisze, a w niektóre trzeba mocniej uderzyć. Po chwili jednak zgrali się ze sobą, Szymon i Ignaz, instrument nabrał pewności, jego dźwięk, bynajmniej nie miękki, lekko jakby chrypiący, brzmiał jednak niezwykle szlachetnie.

Pianino było zupełnie przemienione. Oddawało kilku akordom Kilara całe bogactwo swojego starego wnętrza, wszystkie nadwerężone struny, wszystkie wysłużone młotki. Siedziałam w dużym pokoju przy stole, T. obok na kanapie. Przez okna wpadały ostatnie światła wieczoru, pachniało wilgotną ziemią. Niedawno skończyła się zima, wyjątkowo długa. Jeszcze w święta wielkanocne brodziliśmy w śniegu po kolana, chociaż leśne powietrze tętniło już życiem, ptaki śpiewały i gdyby zamknąć oczy, można było uwierzyć, że panuje wiosna. Jednak wszystko było jeszcze uspione pod grupą warstwą białego puchu. Wydawało się wręcz, że wiosna nigdy nie nadejdzie. Teraz jednak rośliny obudziły się nagle, wystarczyło kilka cieplejszych dni. Na

drzewach pojawiła się zielona mgła, winobluszcz pokrył się pąkami. A zatem: spotkanie przy herbacie, porcelana w kwiaty, za oknem wiosna, bo już nawet nie przedwiośnie. I Szymon przy pianinie.

Była to scena jak z ryciny. Przez chwilę poczułam się nawet dość nieswojo. W moich żyłach płynęła przecież krew zmieszana, władcy historii zrobili wszystko, abym nie miała tożsamości. Moja niewrażliwość na dźwięki fortepianu miała uzasadnienie w genach, które dziedziczyłam. Dziadek ze strony ojca był, co prawda, ze szlachty zaściankowej spod Białegostoku, gdzie wszyscy nazywają się tak, jak ich wioski, ale jego rodzina od dawna nie różniła się od chłopstwa, swoje prawa polityczne utraciwszy pewnie jeszcze za pierwszej Rzeczypospolitej. Jak mit powtarzano w rodzinie historię o herbie, który ponoć jeszcze niedawno można było zobaczyć w starej chacie, ale prawdą jest, że nikt żyjący go nie widział, chatę zresztą dawno zburzono, aby postawić nowy, murowany dom bez ganku i spadzistego dachu. Herb, zamówiony na podstawie herbarzy, bo nikt, oczywiście nie widział, o jaki wizerunek chodziło (ten z herbarzy był piękny, zdążył jednak w najnowszej historii obrosnąć negatywnymi skojarzeniami), wieszali sobie na ścianie tylko niektórzy członkowie rodziny, w dodatku jedynie ci, którzy zostali mieszczanami.

Trudno zgadywać, co moi przodkowie robili w dawnych wiekach. Z pewnością siedzieli w tamtej okolicy, co ponoć łatwo dałoby się prześledzić w księgach parafialnych, może wojowali, ale w jakich wojnach – nie wiem. Który z nich pierwszy usłyszał dźwięk fortepianu? Tego już nie dam rady ustalić, pewnie było to już za PRL. Tam, pod Białymstokiem przed wojną na pewno nie słuchano takich instrumentów, nie posiadano przecież nawet zegarów z kurantem. Słyszano organy w kościele, ale organy, chociaż monumentalne, to jednak coś innego. Szlachta zaściankowa wołała, wiadomo, inne instrumenty, chociażby karabele. Dziadek opuścił

zaścianek, walczył trochę w podziemiu, przeszedł przez Stutthof, po wojnie trafił na Mazury, gdzie poznał babcię. Rodzina dziadka sprawdzała ponoć nawet pochodzenie wybranki, zanim wydała zgodę na ten związek, chociaż i ta historia może być rodzinną legendą.

Jeśli ktokolwiek mógł chadzać na koncerty, była to właśnie rodzina babci ze strony ojca, zamieszczająca szlachta z Kujaw i Pomorza, siedząca dawniej pod pruskim panowaniem. Ród ten wydał kilka ważnych osób, w tym pewnego sławnego kapelana wojskowego. Prapradziadkowie mieli w Chełmnie kamienicę, pradiadkowie byli zaś wiejskimi nauczycielami. Mieszkanie, według rodzinnych relacji, wydzielono im przy szkole, gdzie uczyli, i było bardzo skromne. Gości ponoć kładli spać na piecu. Z drugiej strony, sądząc po zdjęciach prababki i jej sióstr, posiadały one niezwykle wyczucie stylu. Kiedy babcia opowiadała o tamtych czasach, zmieniała się w modystkę, jej historie pełne były plisowanych sukien, krochmalonych koszul, kokard i białych pończoch. Może zatem oni słuchali czasem fortepianu, może na przykład prapradziadkowie, którzy leżą przy katedrze w Chełmnie, chadzali kiedyś na jakieś koncerty. W rodzinie babci miał być nawet podrzutek-sierota, który przybył w te strony razem z Napoleonem. Może on słuchał fortepianu? Ale to jedynie rodzinna legenda. A może jeszcze inna, mityczna praprababcia, która urodziła osiemnaścioro dzieci, może ona. Nie jestem w stanie tego sprawdzić, była to bowiem część rodziny, z którą, przez powikłane losy moich rodziców, nie miałam w zasadzie kontaktu. Ich losy nie były dla mnie nigdy żywą tradycją, nie nasiąkałam w dzieciństwie tymi opowieściami. Ale to wszystko, te wspomnienia, które nigdy nie były moje, stały mi teraz przed oczami, budziły się we mnie zupełnie niespodziewanie, kiedy Szymon grał na pianinie.

Dziadek z drugiej strony pochodził z kolei z chłopstwa z Zamojczyzny. Tam, na zboczach pagórków Roztocza pochowano większość jego

przodków, których długi łańcuch ginął jednak w mrokach niepamięci. Byli stamtąd, to pewne. Z dzieciństwa pozostał mi pod powiekami widok jasnych włosów kuzynów, ich duże, niebieskie oczy, krzepkie nogi i szeroki sposób wymawiania samogłosek. Były tam także, chociaż akurat to wspomnienie balansowało gdzieś na granicy nosa i podniebienia, ciepłe bułki, które stryjenka wypiekała w piecu chlebowym, i mleko prosto od krowy, po które stawiałam się codziennie rano w oborze. Na Roztoczu na pewno nikt nie słuchał fortepianu. Kto wie, czy przed erą telewizji w ogóle wiedziano o istnieniu czegoś podobnego. Za całe piękno wystarczał tamtejszy krajobraz (było to ogromne piękno, na pewno warte tego, by oddać za nie wszystkie fortepiany). Sam dziadek opuścił dom jeszcze przed wojną, ponieważ przeznaczono go na księdza. Ostatecznie jednak skończył na robotach w Niemczech, po których nie wrócił do seminarium. Nawet Boga po wojnie wspominał rzadko, jak przystało na byłego seminarzystę. Ożenił się, rozgościł w państwie, które akurat się przydarzyło i wyniosło go z biedy.

O przeszłości babci, jego żony, również nie wiem wiele. Urodziła się na terenach dzisiejszej Ukrainy, jej ojciec był urzędnikiem. Musiała stamtąd uchodzić spod noży ukraińskich sąsiadów. Skąd jednak w ogóle jej przodkowie wzięli się na Ukrainie, czy w ogóle byli stamtąd – nie wiadomo. Swoje pochodzenie zamilczała, może ze względu na państwo, w którym żyła i w którym została prawniczką; jedyne opowieści o historii rodzinnej, na które dawało się ją namówić, dotyczyły nocy, którą spędziła z rodzicami na cmentarzu, kiedy ukraińscy siepacze przeszukiwali ich dom, oraz oficera, który podkochał się w jej grubym warkoczu, w czasie kiedy przebywała w obozie pracy (warkocz był tak piękny, że ponoć nawet w obozie jej go nie obcięto). Nie chciała niczego wspominać, po prostu nie chciała, dopytywanie się zbywała zakłopotanym milczeniem lub półsłówkami.

Przez to wszystko właśnie byłam typowym Polakiem naszych czasów, o pamięci sięgającej jedynie dwóch czy trzech pokoleń wstecz, o zmieszonym pochodzeniu, o genach, w które wpisano sporą dawkę waleczności i niemałe skłonności do konformizmu. Ale to wszystko, co się dało wykrobać z przeszłości, nawet te niewielkie skrawki pamięci pchały mi się teraz do głowy, stawały mi przed oczami.

Ignac tymczasem zupełnie się już rozegrał. Znikło nawet uporczywe wibrowanie niektórych strun. Akordy harmonizowały coraz lepiej. Od okna zawiąło słodkawym zapachem dymu, gdzieś palono już pierwsze ogniska. Lada dzień miały zacząć śpiewać słowiki, które dziesiątkami, setkami może, gnieźdzą się w krzewach nad rzeką. Czekałam na nie co roku jak na wielkie święto. Wkrótce słońce miało się przegłędać w motylach, bo była wiosna.

A zatem, myślałam dalej, jeżeli większość moich przodków kiedykolwiek słuchała fortepianu, to było to dopiero na przestrzeni ostatnich dziesięcioleci. Kształciłam się w najbardziej topornych, postkomunistycznych szkołach, w mieście, które z tradycją polskiej szlachty (to ona przez wieki była nośnikiem polskiego stylu) nigdy nie miało zbyt wiele wspólnego. Jeśli jednak polskość to dzieło ostatniego wieku, jeśli to nowy wynalazek, jak mówią nam o tym mędrca szkiełko i oko, jeśli stary naród ustąpił nowemu, to skąd u mnie, nowej, to kiczowate wzruszenie i poczucie dumy, kiedy Ignac ze staroświecką godnością wydobywał z siebie akordy poloneza?

A może jest tak, że polskość jest jednak od Mieszka i Sobieskiego, od szlachty z karabelami, a potem, kiedy broń zawiodła, z fortepianami w salonach, a jeszcze później z pianinami w mieszczańskich wnętrzach, gdzie wygrywano już tylko sentymenty? Może jednak – mam nadzieję – to nie tylko sentymenty i nie smutna inteligentczyzna, może dźwięki Ignaca niosły ze sobą coś więcej; może była opowieść o tym, że

polskość jest jednak starsza od nas i zdecydowanie bardziej żywotna, że ewoluuje z nami, jeśli jej pozwolić; że przychodzi sama, oczarowuje sobą nowe grupy, jak prosty polonez Kilara, bo tutaj nawet Chopina nie trzeba, cóż dopiero Chopin; że oczarowuje nawet chłopów o lokalnej tożsamości, jak moi przodkowie z Roztocza, jak chłopci z Galicji, którzy niedawno jeszcze zabijali Polaków; nawet mnie, dziecko z zewsząd, o krótkiej pamięci, zupełnie bez rodowodu. I to wszystko stało mi teraz przed oczami, kiedy Szymon grał na pianinie.

*Marta Kwaśnicka*

*Więcej tekstów na blogu Autorki*